

Niemiecka "krzywda"

Debata na temat ustanowienia Centrum przeciwko Wypędzeniom w istotny sposób zmienia nie tylko niemiecki ogląd historii, ale także rzuca nowe światło na postrzeganie przez Niemców własnego miejsca we wspólnocie międzynarodowej oraz wyznacza nowe horyzonty polityki Berlina.

Nie tylko w niemieckiej publicystyce, ale także w polityce rządu powraca kwestia niemieckiej "krzywdy". W związku z ustanowieniem "widocznego znaku" upamiętniającego "wypędzenie" Niemców oficjalnie uznano, iż wiek XX był wiekiem wypędzeń. Nie wiekiem totalitaryzmów, ludobójstwa, zbrodniczych wojen rozpętanych przez Niemców, ale stuleciem wypędzeń. Ten historyczny fałsz staje się doktryną historyczną państwa niemieckiego. Staje się czymś więcej niż tylko widzeniem przeszłości. Staje się niemiecką doktryną polityki edukacyjnej, kulturowej i przede wszystkim zagranicznej. Niemieckie media rozpisują się o niemieckich "krzywdach", jakie stały się udziałem "wypędzonych". Opinia publiczna jest epatowana audycjami ukazującymi ucieczkę Niemców ze wschodu wraz z przerażającymi scenami "pozbawiania ojczyzny". Powstają programy o zatapianiu statków z cywilnymi uciekinierami, pokazuje się alianckie bombardowania niemieckich miast wraz z dramatem ludności ginącej pod gruzami miast.

Niemcy odkryli, że byli "ofiarami" tej wojny, "ofiarami" klęsk, rozstrzeliwań, gwałtów, wypędzeń, pozbawiania ojczystych stron. Niejako symbolem tych cierpień staje się szefowa "wypędzonych", która musiała opuścić wraz z rodzicami dom swych narodzin w podgdyńskiej Rumi. Niemcy odkrywają, że byli - jak czytamy o tym w książce wydanej z okazji słynnej berlińsko-bońskiej wystawy "Ucieczka. Wypędzenie. Integracja", ostatnio przypomnianej przez prof. Zdzisława Krasnodębskiego - ofiarami "swego rodzaju odpowiedzialności zbiorowej".

Dziś można powiedzieć, że poczucie krzywdy we współczesnej niemieckiej świadomości coraz bardziej przesłania kwestie odpowiedzialności za zbrodnie rozpętania wojny i ludobójstwo na podbitych narodach. Nie kwestionuje się zbrodni holokaustu, ale pamięć o martyrologii innych narodów jest systematycznie zacierana w niemieckiej pamięci. Nie ma w Berlinie pomników upamiętniających ludobójstwo na Polakach, Rosjanach, Cyganach, Białorusinach czy innych narodach. Jak wiadomo z relacji współczesnych Niemców, ich dziadkowie w czasie wojny służyli jedynie w wojskowych orkiestrach, kuchniach polowych, no, może co najwyżej w obronie przeciwlotniczej, broniąc przed zniszczeniem niemieckie dziedzictwo kulturowe.

W rezultacie niemieckiej polityki historycznej upamiętniono jedynie Żydów, Niemcy zaś coraz bardziej jawią się jako największe po Żydach ofiary II wojny światowej. Wraz z tą relatywizacją odpowiedzialności za skutki wojny w niemieckim postrzeganiu historii relatywizuje się także odpowiedzialność za jej przyczyny. We wspomnianym wyżej wydawnictwie "Ucieczka. Wypędzenie. Integracja" można przeczytać, że po traktacie wersalskim przyznano Polsce terytoria

"jednoznacznie zamieszkałe w większości przez Niemców". Co więcej, odpowiedzialność za rozpętywanie wzajemnych konfliktów rozkładana jest symetrycznie. Autorzy piszą: "Polityka Berlina i Warszawy, z których żadne nie zamierzało zadowolić się status quo, prowadziła w konsekwencji do kontynuacji bądź narastania narodowych animozji". Powstaje pytanie: o jakich terenach zamieszkałych przez większość niemiecką i o jakich polskich działaniach, które naruszały ówczesne status quo, piszą autorzy. Mamy tu po prostu do czynienia z historycznymi fałszami służącymi relatywizowaniu odpowiedzialności za rozpętywanie wojny. Ten relatywizm historyczny to przecież nic innego niż swoiste rozgrzeszanie Hitlera, na razie wyłącznie za rozpętywanie wojny. Tego typu stwierdzenia nie tylko nie spotkały się z oburzeniem i protestami, ale poprzez decyzję o ustanowieniu berlińskiej wystawy podstawą "widocznego znaku" powoli stają się oficjalną interpretacją niemieckiej historii.

Ta reinterpretacja przyczyn, charakteru, odpowiedzialności i skutków II wojny światowej to nie zwykły sentymentalizm dziecienniałych esesmanów wspominających z nostalgią podboje niemieckiej armii. To próba powiedzenia światu, iż Niemcy nie tylko nie mogą ponosić odpowiedzialności za zbrodnie wojenne, ale też że są jedynym narodem, który nie otrzymał rekompensat za doznane krzywdy. Ta reinterpretacja historii jest próbą zdjęcia z narodu niemieckiego odpowiedzialności za wszystko, co wydarzyło się w czasie wojny. Co więcej, jest to rehabilitacja politycznych i militarnych aspiracji nazizmu. Bowiem od stwierdzenia, iż wyrazem niemieckiej "krzywdy" było przyznanie Polsce po pierwszej wojnie światowej ziem byłego zaboru pruskiego (niecałego), jest już niedługa droga do usprawiedliwienia polityki rewanżizmu. I taki sens ma postulat z cytowanej powyżej niemieckiej publikacji. Autorzy piszą: "Z uwagi na nakaz stosowania pokojowych rozwiązań obowiązujących w prawie międzynarodowym, ani powrotu, ani odszkodowań nie można wymusić przemocą [przecież byłoby to prostsze i szybsze - dop. MP]. (...) Istnieje zatem zobowiązanie do rozmawiania ze sobą i pokojowych rokowań. W tym sensie należy rozumieć długofalową politykę zbliżenia między dawnymi przeciwnikami. Również traktaty wschodnie z lat 70-tych i układy o dobrym sąsiedztwie z lat 1990-1991 służą pokojowi" (s. 191). Dziś ideologia wyrażona w tej publikacji wraz z oficjalnym ustanowieniem "widocznego znaku" staje się jawną ideologią państwa niemieckiego. Do tej pory mieliśmy bowiem do czynienia z pewnym kamuflażem celów polityki Berlina wobec Polski. Ale utrzymywanie konstytucyjnych zapisów o granicach z 1937 r. w sprawie przyznawania niemieckiego obywatelstwa, wreszcie sankcjonowanie niemieckich wojennych grabieży naszego dorobku kulturowego, zwłaszcza dzieł sztuki i archiwaliów znajdujących się w niemieckich muzeach i archiwach, wszystko to świadczy, że ta polityka była realizowana także pod maską "pojednania".

Niemiecką politykę zagraniczną, w przeciwieństwie do polskiej, cechuje ujawnianie tych celów, które można zrealizować na danym etapie, a zatem posiada ona trudną sztukę nie tylko kamuflowania celów strategicznych, ale także operacjonalizowania celów etapowych i szukania różnych sprzymierzeńców. Polityka Niemiec w Unii Europejskiej doprowadziła, jak pokazuje traktat lizboński, do dominującej pozycji Berlina w Europie. Dzięki zapisowi z Joany Niemcy z tylko

jednym, nawet najmniejszym państwem, mogą zablokować wszystkie decyzje. Zaś ich polityka historyczna prowadzi do moralnej rehabilitacji i stanowi ideologiczną podbudowę pod hegemonistyczną politykę realizującą kolejne mocarstwowe aspiracje. Ideologia niemieckiej "krzywdy" służy uprawomocnieniu choćby tych postulatów, które są zawarte w cytowanej powyżej publikacji. Co do dalszych celów, którym ma służyć ta ideologia, można snuć różne przypuszczenia. Groza tej ideologii wynika bowiem z historycznego doświadczenia. Narody naszego kontynentu doświadczały już skutków ideologii niemieckiej "krzywdy". Przypomnę, iż po raz pierwszy pojawiła się ona na przełomie XIX i XX wieku, gdy po zjednoczeniu Niemiec państwo to poczuło się skrzywdzone polityką mocarstw imperialnych, które podzieliły między sobą kolonie bez udziału Berlina. Niedopuszczenie do kolonialnego tortu niemieckiego mocarstwa było tak wielką "krzywdą", że odpowiedzią na tę "dyskryminację" stały się niemieckie zbrojenia. Z oczywistymi skutkami. Drugi raz Niemcy przeżyły upokorzenie i "krzywdę", gdy odrodziła się Polska w 1918 r., odzyskując część zaboru pruskiego. "Krzywda" była tak wielka, że to uczucie udzieliło się w Locarno nawet mocarstwom zachodnim. Poczucie tej "krzywdy" zmusiło nie tylko Hitlera, ale wcześniej demokratyczną Republikę Weimarską z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla Gustawem Stresemannem do prowadzenia polityki rewanżyzmu.

Dziś współcześni Niemcy odkrywają niezabliźnioną i coraz boleśniejszą "krzywdę". To memento dla Polski, której prezydent wylewnie dziękuje niemieckiej kanclerz za traktat, w którym udało się jej uzyskać hegemonistyczną pozycję dla własnego kraju i zredukować rolę naszego, a rząd Donalda Tuska zachowuje "życzliwy dystans" do "widocznego znaku", licząc na groszowe wsparcie nieokreślonych polskich inicjatyw.

Marian Piłka

10 kwietnia 2008

Nasz Dziennik